



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.



## KOLEDA.

Hosanna Bogu na wysokości!

Temu, co pośród maluczkich gości

Jezusowi!

Przyszedli ze Wschodu możni magowie,

Dali mu mirę i złotogłowie

Jak królowi!

Spłynęli z nieba biali anieli,

Śpiewali do snu w biednej pościeli

Aniolkowi!

Przyszedli do niego nędzni pasterze

Własną mu swoją niosąc wieczerzę

Nędzarczowi!

Gomółkę sera, krajankę chleba

Wszystko co własna zrodziła gleba

I własna chata!

A On ich wszystkich pobłogosławił

Wszystkich zarówno kochał i zbawił,

Bóg, Stwórca świata!

*Gabryela Jasińska.*

## NA ŚWIĘTA DO DOMU.

(Z prawdziwego wydarzenia.)

Z pierwszym brzaskiem zimowego poranku, z przedmieścia Leszna, na wysadzoną, wiodącą do kolei drogę, wysunęły się szerokie sanie, ciągnięte dzielną czwórką gniadoszów.

Mróz tęgi ubielił gałęzie przydrożnych topoli puchem szronu, w którym wschodzące słońce zapalało tysiące ognistych iskier. Gniadosze pomykały rażno, parszając wesoło zachęcane dźwiękiem brzmiących przy uprząży dzwonek, i miarowem klaskaniem bicza, z którego stary Jan stangret, unosząc się na koźle, od czasu do czasu dawał mistrzowską salwę w powietrze.

Po głośniejszem każdym trzaśnięciu, uśmiechnięta twarz woźnicy, zdobna w siwe, sopłami lodu obmarzłe wąsiska, zwracała się za siebie do jadących w głębi sanek podróżnych.

Z pomiędzy sterty futer, der i kozuchów buchające parą oddechem, ukazały się cztery rozpromienione buziaki rumiane od mrozu.

Dwaj siedzący na przodzie chłopcy Franuś i Józio byli synami pana Ignacego, właściciela dwóch wsi pod Ostrowem, i wiozącej ich gniadęj czwórki. Zajmujący honorowe miejsce z tyłu, to Oleś i Romek koledzy kochani, zabrani na święta do domu.

Staremu Janowi polecono zdrowo i cało wesołe to gronko dostawić na miejsce, to też pocziwy oglądał się na nie często, pogderując żartobliwie:

— A niech no się panicze nie rozkrywają! Mróz siarczysty, nie daj Boże przemarznąć! Pan Józio nigdy dosiedzieć nie może, już oto rękę wystawił.—odmrozi panicz palce ani chybi i nie będzie mógł na skrzypcach zagrać koledy!

— Nic mi nie będzie, Janie kochany! — wołał najzwąwszy z towarzyszy Józio. — Przecież i wy trzymacie ręce na powietrzu i też wam nie upadną.

— Moje palce do zgrzebła i bata, to im się tam nic nie stanie, a paniczowe do smyczka, to wcale inszej natury! A wiezą panicze skrzypki do domu?

Stary Jan miłował się okrutnie w muzyce paniczów, którzy od roku biorąc lekcye na skrzypcach, przyjeżdżając do do-

mu, ćwiczyli się w grze po kilka godzin dziennie, odkąd zaś pewnego wieczoru, gdy zaszedł do dworu meldować Franiowi że jego kuce przybyło źrebię, chłopcy zagrali mu rażnego mazura, uważał ich za skończonych artystów!

— A jakże, wieziemy! wieziemy! skrzypce i altówkę i pan Roman swoją gitarę! — zawołał Oleś. Wiecie mój Janie, że wieiecie strasznych muzykantów, którzy się nie ruszają bez instrumentów. Jesteśmy w komplecie i każdej chwili możemy dać wam koncert!

Jan zamilkł, trzepnął lejcem podręcznego, cmoknął na zdrowie parszającemu wprzodku ogierkowi, poczem znowu obejrzał się za siebie.

— Z przeproszeniem pana Frania — zwrócił się do najstarszego z chłopców. — Co to takiego ten koncert?

— Koncert, widzicie Janie, to taka muzyka, gdzie gra kilku lub kilkunastu, a ludzie się schodzą, kupują bilety, siadają na krzesłach i słuchają.

— Niby za pieniądze?

— A jakże!

— I dość się to płaci za takie słuchanie?

— Różnie. Jak gra dobra, to i po kilka talarów.

— Pioruny! — mruknął Jan i poprawił się na siedzeniu, a rozwinąwszy bat w powietrzu, palnął tak dzielnie, iż z gałęzi topolowej zerwała się z krakaniem drzemiąca wrona.

Dalsza podróż odbywała się szybko, i wesoło. Młoda czwórka szczęśliwa, czując w kieszeniach dobre świadectwa szkolne, prześcigała się w dowcipach i żartach. Stary Jan lubował się swymi paniczami, marudząc czasem niesfornej załodze pakownych sani.

Około południa zatrzymano się w miasteczku Krobi, gdzie jak zwykle w mizernym rynku, -którego środek zamiast ratusza, zajmowała wspaniale zielono malowana pompa, zajechano przed znaną oberżę „Pod słońcem”.

Tupiąc nogami i chuchając w ręce, chłopcy wbiegli gwarno do znajomej cukierni, której gospodarz pan Szczepankiewicz w sieni czyniący gościom honory, wprowadził ich do tak zwanęj szumnie „Zielonej sali”. Sala pani Szczepankiewiczowej był to sobie duży pokój o dwóch oknach, oblepiony szarym w czerwone kwiatki papierem, w którego umebłowaniu, pośród starych wysiedzianych, obitych zielonym perkalem gratów, dominował odwieczny klawikord rozstrojony, przedstawiający gościom pozołkłe, wytarte klawisze. Najweselszym za to sprzętem salonu był komin szeroki, na którym właśnie tęgi huczał ogień, rozrzucając z trzaskiem iskry po podłodze.

Koło niego skupili się nasi podróżni, gdy z drzwi przyległych wtoczyła się do izby otyła gospodyni.

— Panowie na święta do domu?! — zagadła żywo, witając szkolną młodzież. — Mój Boże mróz taki, że zapiera w piersiach.

— A niech sobie! Albo nam to co zrobi?! — zrucając z siebie futra, wołali chłopcy.

— Młodość, młodość tak grzeje! — kiwając głową, westchnęła pani Szczepankiewiczowa — i ta uciecha, że się to leci do swoich!

— Ale inna rozgrzewka też nie zawadzi! — ozwał się Oleś, przyciskając rękę do żołądka.

— Do usług! — Co panowie każą? Jest herbata, kawa, zupa, pieczeń z kapustą. Co wola! znajdzie się jajecznicza, śledź i kartofelki, dla tych co z postem.

— Niech będzie kawa i bułki świeże, a resztę Jan w koszu wiezie! — zdecydował Franio. Pani będzie tak dobrą, kazać znieść tu pakunek i prędko przyrządzić kawę.

Niezadługo, na stole pojawiła się taca, na której perkaty imbryk cynowy, buchające parą, przesiąknięte aromatem kawy mile łechtał podniebienie, szereg zaś garnuszków zdobnych w grube kozuski, zachęcał wymownie do skosztowania tego specyału.

Równocześnie z sieni wtoczyła się do pokoju wysoka postać stangreta, obarczona dużym, pakownym koszem, który umieszczono na krześle przy stole.

Wśród wesołych okrzyków, rzucono się dobywać zawartość, ułożoną tam staranną kochającą dłońią matki, troskliwej o swych chłopców.

Szynka, chleb, masło, sery i pierniki, orzechy, jabłka, butelka z winem, ukazywały się na światło dzienne, z cudowną szybkością niknąc w ustach młodzi, i jej opiekuna Jana a nawet kieszeniach fartucha pani gospodyni, którą tem wszystkim częstowano. Zaspokoiwszy pierwszy głód, siadano gwarnie do gorącej kawy, gdy drzwi otworzyły się nieśmiało, i wśród ochoczego gronka, pojawił się blady chłopak mniej więcej w wieku podróżnych. Odziany w wytarty kozuszek, przewiązany starym szalikiem włóczkowym, zapuchły od płaczu, zsiniały, stanął we drzwiach jak obraz boleści, samym swym widokiem płosząc już śmiechy i wesołość. We wrzącej przed chwilą izbie, zrobiła się nagle cisza. Po chwili dopiero, z pomiędzy osłupiałych chłopców wysunął się Józio.

— Janek! Janek! — zawołał, rzucając się ku przybyzowi.

— Janek! Janek! — rozległo się między towarzyszami. — Co ty tu robisz? Co ci się stało?

W miejsce odpowiedzi, rozległo się tylko głośnie łkanie.

W zsiniałym od zimna, zaszlochany chłopcu, nie od razu poznano kolegę. Janek był ubogim synem ekonoma z oddalonych okolic, ostatnim groszem pracowitych rodziców trzymany w szkołach leszniańskich. Nasi paniczki znali go potrochu, osobliwie zaś Józio, siedząc z nim na jednej ławce, wiedział iż chłopak o głodzie i chłodzie zdobywa z trudem, mającą kiedyś wypłacić mu się naukę, zarabiając lekcjami na suchy ledwie kawałek chleba.

Opłakany stan biedaka, zjawiającego się tu niespodzianie, wzruszył niepomierne młode, żywe serca.

— Co ci się stało Janku? Mówże — zawołał Franek, ciągnąc go do komina.

— Ukradziono mi pieniądze! — wyszlochał Janek rozrzucony więcej jeszcze współczuciem kolegów.

— Pieniądze? Jak to? Wiele?! — posypały się pytania.

— W dyliżansie. Jechałem do rodziców... W ostatnich czasach miałem lekcji u bogatych uczni tyle, że nad sobą pracowałem tylko nocami. Skoro też usiadłem w karetce pocztowej, zasnąłem twardo jak kamień. Wtedy... ukradziono mi pugilares. Boże! Boże! co ja teraz pocznę nieszczęśliwy? Matka w domu chora, ojciec grosza niema! Wiozłem im oszczędzone przez kwartał pieniądze.

— Wiele tego było?

— Dwadzieścia talarów. Wszystko com zarobił w ciągu ostatnich tygodni!

Nowy potok łez gorzkich, przerwał słowa mówiącemu.

Towarzysze otoczyli go kołem, roześmiane niedawno twarze, przedłużyły się smutnie, w oczach chłopaków kręciły się łzy współczucia.

— Przyszedłem tu spytać, czy w zajeździe niema kogo z naszej strony, coby mnie podwiózł do domu? — uspokoiwszy się nieco przemówił znowu Janek. Bilet pocztowy miałem kopiony tylko do Krobi, a dalej jechać nie mam za co!

— Nieborak! biedactwo! — zawołała pani gospodyni. — W tej chwili niema nikogo, ale niech kawaler poczeka... Może z południa zajędzie kto taki, co będzie zamierzał w tę samą drogę.

— Matka słaba! Ojciec bez pomocy! — lkał tymczasem zrozpaczony chłopiec.

Najstarszy Franio rozwiązał coś na stronie nie odzywając się wcale.

— No, pomoc dla matki, to się tam później obmyśli! — przerwał bezcelowe utyskiwania — teraz chodzi o to głównie, żebyś do domu odjechał! Koledzy, a dużo tam który ma grosza?!

Bez namysłu wszystkie ręce sięgnęły do kieszeni, wszystkie portmonetki znalazły się na stole, poważny zaś Franek, wytrząsnął starannie zawartość każdej na czerwoną serwetę.

Okazało się przecież, że zjednoczone fundusze gimnazystów, wynoszą sumę bardzo małą. Przy końcu kwartału, co kto miał to i wydał, a rodzice na drogę przysłali nie wiele i po zakupie piór i kajetów, zapłaceniu w sklepiku rachunków za wybrane figi, jabłka i świętojański chleb, nie zostało nic prawie.

Franio miał dwa złote, Józio złotówkę, Oleś z westchnieniem położył srebrnika, a Romek dwadzieścia groszy! Ze łzami w oczach pani Szczepankiewiczowa dołożyła od siebie trzy złote. Ale i tego nie starczyło na przebycie nawet części pozostałej drogi.

— Co tu robić?!

— Jak radzić?!...

Zakotłowało się w zajazdowej izbie. Rozsądny Franio, burzliwy Józio, cichy Romek, i roztrzepany Oleś łamali sobie głowy, żąd dostać pieniędzy, by wyprawić kolegę.

Zapomniana kawa, stygła sobie na tacy.

— Pieniądze! pieniądze!... Zkąd wzięść pieniądze?

— No a gdybyż dać koncert?! — zabrał głos niespodzianie, stojący przy drzwiach Jan.

— Jak to koncert?

— A jak!... Paniczki przecież wszyscy pięknie grają no to i zagrają, a ludzie zapłacą i będą pieniądze. W pokoju nastąpiła cisza. Przemówienie stangreta zrobiło wrażenie.

— Wiwat Jan!.. — buchnął na raz okrzyk z czterech piersi — koncert! koncert koncert!

Rada w radę, bez zwłoki zabrano się do dzieła:

Gospodyni wspaniałomyślnie pożyczyła swęj sali, i rozstrojonego fortepianu. Józio, z zapalem, z wielkiego arkusza wycinał bilety, na których gospodarz wypisywał od ręki pięknym rondem:

„Bilet na koncert wokalny instrumentalny przejezdnych amatorów. Cena złotych dwa”.

Zziajany, lecz promienny inicjator koncertu Jan, wnosił z sanek skrzynki ze skrzypcami, altówką i gitarą.

Franio, rozkładał nuty. Romek połykał wystudzoną kawę, przygotowując gardło do śpiewu.

Bohatera chwili Janka, posadzono na kanapie, a pani Szczepankiewiczowa nakarmiła go bułkami, jajecznicą, śledziem, kawą, wszystkim, co zresztą znalazło się pod ręką.

— Miłosierny uczynek! miłosierny! — powtarzała wdychając.

Rozpisanie biletów zabrało dość czasu. Przechyliło się słońko z południa, gdy uporano się z tą robotą.

— A afisze?! — zrobił uwagę Oleś.

— Afisze? Prawda! Trzeba będzie wypisać znowu na czystych arkuszach, rozesłać po domach, a największy nalepić klajstrem na zajezdnej bramie, żeby ściągał gości!

— Tego nie wolno! — wtrącił gospodarz. — Bez pozwolenia zwierzchności: A chodzić do burmistrza, zajęłoby wiele czasu.

— Co tam afisze! — porwała się pani Szczepankiewiczowa. — Dajcie no bilety. Już ja sama przejdę po miasteczku, i to będą najlepsze afisze!

Za chwilę zacna gospodyni wytoczyła się z alkierza, odziana w zajęczy tołub, i wsunawszy w kieszeń grubą paczkę biletów, gotową była do drogi.

— Miłosierny uczynek! miłosierny!... — powtarzała, zarzucając chustkę na głowę. — Niechże panowie dokończą tej kawki choć zimna! A ty stary przypilnuj, żeby Magda wyprzątła salę i przygotowała krzesła co się zmieści. A niezapomnij o oświetleniu salonu. Wziąć od Piorkowskiej funt świec parafinowych, dwa lichtarze moje, i od Mordka pożyczć szabaśnika! Resztę sama urządź jak wrócę.

W dwie godziny później, sala „Pod słońcem” solenny przybrała wygląd.

Wysiedziana kanapa, i otarte z politory stoły, znikły w głębokości alkierza. Na pierwszym miejscu między oknami, sam pan gospodarz z pomocą Jana, i chłopca od gości, ustawiał na gwałt fortepian, którego popuszczane z dawna struny, jęczały jakby skargą bolesną iż żądają od niego jednego jeszcze nieprawdopodobnego wysiłku. Tuż obok umieszczono od organisty pożyczony pulpit, na którym wspaniale połyskiwały mosiężne Moszkowe świeczniki. Posrebrzane, wysokie lichtarze pani ustawiono na fortepianie, resztę zaś niezawszyskiem rozpedzonych cieni rozjaśniły jak mogły świece gorejące na oknach w butelkach, zakrytych starannie, wystrzyżonym w piękne ząbki różowym papierem.

Drzwi alkierza zasłonięto pasiastą kapą kolorową, na cel ten szlachetny, ściągniętą z wygodnego łoża gospodyni. Gdyż ztąd mieli kolejno ukazywać się artyści. Resztę widowni zajmowały zbite szeregi systematycznie ustawionych krzeseł. Mówiąc prawdę, imponujące te szyki sprawiały dziwne wrażenie z przeróżnych krain zwerbowanych żołnierzy, dziwiących się sobie i swemu sąsiedztwu. Tuż obok estrady odznaczonej płonąciami na ziemi lampkami od Wielkopiątkowych „grobów” pyszniły się dwa ponsowe proboszczowskie fotele, których kanonik zacności, nie odmówił w nieprzewidzianej a nagłej potrzebie. Za nimi cisnęły się bokami zielone, żółte, niebieskie, i czarne, objane, trzciniowe, drewniane bejcowane, i surowe całkiem stołki, porządnymi rzędy sięgające aż do drzwi wchodowych.

Mrok zapadł, gdy czerwona, spotniała mimo mrozu, lecz rozpromieniona pani Szczepankiewiczowa wpadła do domu.

— Dobrze poszło! bardzo dobrze! — wołała radośnie zaraz w sieni. — Rozprzedałam bilety co do jednego! Będzie pan doktor, burmistrz, aptekarzostwo, obaj cyrulicy z familiami...

Wyliczaniu dygnitarzy miasteczka nie byłoby może końca, lecz małżonek otworzył podstępnie drzwi sali, uniesiona zapałem kobiecina, oniemiała ze zdumienia.

W salonie cisza. Światła jak w kościele. Między krzesłami przechodzi się Magda, z łopatką w ręku, sypiąc na węgle miarki bursztyn. Od zapachu aż dusi! Z poza pasiastej koldry, rozlegają się dźwięki strojonych instrumentów.

Pani gospodyni uczuła wyraźnie lekki zawrót głowy.

— Nie źle! wcale nie źle! — mówiła, hamując zachwyt z godnością dystygowanej osoby. Porządnie! całkiem porządnie!

„Chociaż to życie idzie po grudzie,  
Jak mi Bóg miły, niezli są ludzie”...

Wyrzekł kiedyś poeta. Sprawdziło się to onego wieczora w Krobi.

Od chwili powrotu pani Szczepankiewiczowej, do szóstej godziny, ustawicznie wpaadał ktoś do kasy, urządzonej naprędce w zamkniętej szufladce stolika, ustawionego w sieni.

— Od piekarza Piwonka po dwa bilety!...

— Od rymarza po bilet!...

— Z cukierni po miejsca na cztery osoby!

Siedzący przy kasie gospodarz, literalnie nie mógł sobie dać rady! kapitał zaś w szufladzie rósł do tak bajecznych rozmiarów, iż trzymanie go w podjezdnej bramie przedstawiać zaczęło pewne niebezpieczeństwo. Napchało się popółstwa, ciekawej gawiedzi, ciśnięto się zewsząd, deptano, wołano, zakradły się nieporządki, pomyłki, i byłoby się to Bóg wie jak skończyło, gdyby nie sprytna głowa Jana, który zmiarkowawszy potrzebę chwili ukazał się przy kasie, z biczem w ręku, i przybrawszy odpowiednią pozycję, straszny tem w jego dłoni stajennym narzędziem, manewrować zaczął z przedziwną wprawą, przyjmując na się urząd straża bezpieczeństwa.

O godzinie szóstej, wyborowa publiczność wypełniła salę po brzegi. W zamglonym dymem bursztynowym powietrzu, krzyżowały się ciche szepty, powitania, i ukłony. Na

czerwonem krześle obok burmistrza, zasiadł poważnie „Sam Kanonik”, a za nimi inna „noblessa”.

Pasiasta opona przy drzwiach drgnęła, i z alkierza z gęstemi minami, wysunęli się artyści, zmierzając gęsiego ku oczekującym na estradzie instrumentom.

Franio, ujął skrzypce, Józio altówkę, Oleś rzucił się na krzesło przy klawikordzie, za nim, z gitarą w ręku stanął Romek.

Pisnęły skrzypce, brzękła gitara, pod furjackiem uderzeniem palcy Olesia, zajęczały niesforne popuszczane struny, po nadto zaś wszystko, wzbil się młodociąny, nieuczony lecz miły głosik śpiewaka. Hucznie, i śmiało popłynęła fantastyczna nieznana nikomu, ani słyszana później symfonia!

Jak było? Co było? nie umiemy powtórzyć. Milczą o tem kroniki Krobi, dla tego może, że nie było tam, i niema żadnego pisma, któreby uwieczniło odwagę naszej dzielnej czwórki.

Gdy umilkli, zagrzmiały oklaski. Potem, cisza. Artyści znikli za firanką. Oczekiwano na następny numer.

Miejscowy doktor zagryzał wąsy, pani doktorowa dusiła się od śmiechu. Ksiądz kanonik dobrotliwie kiwał głową. Na tyłach za to, odzywały się głosy wielkiego zadowolenia.

— Pięknie! pięknie! bardzo ślicznie! — Pani Szczepankiewiczowej po rumianej twarzy, płynęły łzy rozczulenia, w otwartych zaś do sieni drzwiach, z pod liberyjnego galona, promieniało roześmiałe w ekstazie szczęścia, oblicze Jana, który zszpawszy kasę w kieszeń skórzanych spodni, zapragnął być świadkiem stworzonego przez się widowiska.

Dalszy koncert bezprogramowy odbywał się w ten sam mniej więcej sposób. Szły po sobie mazury, polki, walce, sonety, i śpiewy solowe z równą werwą i humorem.

Pierwsze rzędy nie krępijąc się pokładały się od śmiechu, tem jawniej, iż za pasiastą oponą słyhać było wyraźnie chichot tłumiony artystów.

Na niewyścielanych stołkach wrzał entuzjazm.

Po każdym numerze następował grzmot oklasków. Bisowano śpiewy. W sali „Pod słońcem” rozwieliżniła się wesołość od podłogi do stropu.

W najciemniejszym kąciuku, popłakiwał skrycie biedny Janek, rozrzewniony tem wszystkim, co działo się tu dla niego. W drugim końcu towarzyszyła mu stale pani gospodyni, która wielką płócienną chustkę, literalnie zmoczyła łzami.

Stary Jan za to, nieposiadał się z radości! Brzęczało mu w kieszeni trzydzieści talarów „dla tego chudziaka”, a panicze co grali to grali!

Gdy ostatnia melodia przebrzmiała, rozbawiona publiczność niechętnie ruszała się do wyjścia. Staruszek zaś kanonik pozostał na miejscu w pustej sali, i przywołał do siebie artystów, kolejno ucałował ich głowy.

— Niech Bóg błogosławi! — szeptał, kreśląc krzyżyki na schylonych czołach. Był to najpiękniejszy koncert w świecie, gdyż grały tu pocziwe serca!

Z.

## DZIKIE WOŁY.

W departamencie Bouche du-Rhône we Francji, przy ujściu Rodanu znajduje się szeroka delta pokryta bujną roślinnością. Delta, D w greckim alfabecie, ma postać trójkąta, dla tego też nazywają w ogóle deltą żyzne części kraju, zawarte pomiędzy ujściami rzek do morza, jeżeli te rozdzielają się na kilka odnóg, co im nadaje postać trójkąta. Ztąd też pochodzi nazwa wyspy utworzonej w Egipcie przez odnogi Nilu. Otóż delta przy ujściu Rodanu zwana „Camargue” utworzona ze szlamu rzeczno i pokryta łąkami, żywi mnóstwo różnorodnych zwierząt a w szczególności dzikich wołów, które



Dziki wół.

zwracają na się uwagę przyrodników, jako pochodzące z rasy bardzo starożytnej i już znikającej z powierzchni ziemi. Mięso ich jest niesmaczne, wzrost nie wielki; są koloru czarago, krępe, niezmiernie silne i z wielką trudnością dające się chwycić i ujarzmić, po prawdziwie, śmiertelnej nieraz walce. Chwilę takiej walki z dzikimi wołami, chroniącymi się aż do wody, przedstawia rycina nasza.

## Wigilia Bożego Narodzenia.

Zamieć na drodze. Wiatr znosi śnieg z dachów, sypie nim w oczy przechodniów i okna domów. Każdy podnosi kołnierza, otula się czem może i spieszy do domu. Wszędzie mniej więcej dziś weseliej niż zwykle. Nawet biedacy starają się mieć wieczerzę. Wszędzie widać twarze uśmiechnięte i wesołe. Jednak i w tym dniu nie wszyscy szczęśliwi.

W pięknym salonie, koło kominka, siedzi na fotelu sędziwy mężczyzna. Siwe włosy okalają oblicze, o wyrazie budzącym uszanowanie. Bogate sprzęty, obrazy, dywany kosztowne, rzeźby napełniają komnatę. Wszystko, co może zachwycić oko i zająć umysł, jest tu zebrane. Czemuż tedy chmura smutku osiadła na czole starca? czemu westchnienie podnosi pierś jego? On samotny. Każdy znajduje się teraz w kółku najbliższych, on tylko sam jeden. Po co mu te bogactwa, kiedy niema z kim ich podzielić? Głowa spada mu na piersi i przeszłość staje przed oczyma jego duszy. Marzy:

Widzi się małym dzieckiem, skaczącym naokoło skromnego drzewka w małym dworcu szlacheckim, widzi twarze ukochanych rodziców. O, jaki on był szczęśliwy! Ale widzenie znika, za chwilę inne nadchodzi: Widzi się młodzieńcem, pełnym nadziei; widzi postać stryja, zapisującego mu ogromny majątek; widzi ukochaną żonę, uśmiechającą się doń słodko. I starzec uśmiecha się także radośnie. Ale marzenie pierzcha i on znajduje się znów sam w pięknym salonie, otoczony zbytkiem. Znowu spuszcza głowę na piersi i znowu widzenie przychodzi. Widzi syna jednynaka, słyszy głos jego, widzi go ojcem ślicznych dzieci. Widzi wnuczęta, bawiące się na jego kolanach, radość serce mu napełnia, ale widzenie pierzcha. Teraz starzec przypomina smutne chwile: Widzi śmierć żony, syna, pogrzeby synowej i dwojga wnucząt i znowu czuje się samotnym w wielkim salonie. Wstał, podszedł do okna i patrzy:

Na dole w suterynie w przeciwnym domu widzi całą biedną rodzinę. Ojciec powstał tylko co z choroby, otaczają go dziatki, odkryte łachmanami i wynędzniała matka. Dziś i tu weseliej. Ogień na kominku, na stole chleb i kawałek sera. To ich cała uczta a przecie... Coby on bogaty pan dał za to, gdyby mógł być na ich miejscu!

Pochwycił dzwonek i zadzwonił. Echo rozeszło się po pustych pokojach. Za chwilę służący otrzymał rozkaz zanieśienia do mieszkania biedaków kosza, napełnionego jedzeniem. Była tam i butelka wina, i sukienka z napisem: „Na kolendę dla dziatki.”

Starzec, stojąc przy oknie, patrzył na radość i uśmiech od tyłu lat nie widziany, okolił jego usta. Słuchał opowiadania o ich wdzięczności i czuł, że smutek ustępuje, a nieznanne od dawna błogie uczucie, napełnia jego serce. Siadł przy biurku, kreślił coś długo na papierze, wreszcie złożył papier, zapieczętował i rzekł do służącego:

— Gdy na pasterkę zadzwonią, dasz mi znać.

Usiadł znowu przed kominkiem, wziął fotografie ukochanych do ręki i opowiadał im o szczęściu, którego był sprawcą. Opowiadał im o tym papierze w biurku, że po jego śmierci dużo biednych go pobłogosławi. Uczuł się otoczonym naraz wszystkimi, których kochał. Oni wołali na niego, aby się spieszył bo czekają; on odpowiadał:

— Zaraz drodzy moi.

Nie zazdrościł nikomu, liwy. Zadzwoniono na pasterkę, ale lokaj nadare pana, on zasnął na

wieki z uśmiechem na ustach. Dzwony wzywały lud na modlitwę; z ich dźwiękiem uleciała ku niebu dusza zacnego starca.

*Brzózka Srebrna.*

## WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dokończenie).

— Tu... wiatr napędził węń chmury i przeto nic nie widać — odpowiada przewodnik, daleko łagodniejszym tonem niż przy poprzedniej rozmowie, kiedy czy to nieszczęście kolegi, czy też niebezpieczeństwo własne wzburzyło mu duszę. Wziął kilka kamieni i rzucał od czasu do czasu po jednym w krater u stóp naszych prawie, ale nie widzialny dla nas, a my po odgłosie domyślaliśmy się głębokości. I pod uderzeniem nogą o ziemię wydobywał się z niej głuchy odgłos, najwyraźniej była tam próżnia. Z godzinę siedzieliśmy nieruchomo w chmurach, owinięci flanelowymi kołdrami, wśród bezdennnej ciszy, lekki zapach siarki dolatywał, zresztą nic prócz chmur. Doznawałem uczucia tak dziwnego, że nie podejmuję ci się go nawet opisać: zdawało mi się zupełnie, że nie żyję; wyobraź sobie, że to ty sama siedzisz tak w chmurach posępnych w ciszy bezdennnej, na szczycie wulkanu, o trzy kroki od roztartej paszczy jego ziejącej siarką... Siedzieliśmy w uroczystym jakimś milczeniu, aż wtem wiatr powstał rozpędzając chmury, słońce przedarło się przez nie i oblało wreszcie nas i widnokrąg światłem płomiennem, budząc życie, stwarzając barwy, zupełnie jakby tchnęło duszę w świat martwy. O, Wańdziu w tej godzinie na szczycie Merapi dopiero odczułem i pojąłem wszystkie poezyje, opiewające piękność i potęgę słońca!

Pan Antoni wdzierał się na skaliste popiołem przysypane rumowiska, wznoszące się gromadami na kilka metrów wysoko naokoło krateru, rozwartego jak czarna olbrzymia paszcza, poszarpana wewnątrz i przez szczeliny dymiąca piekielnym siarki oddechem. Mnie raz tylko spojrzeć pozwolił i pomiędzy skał w głąb tej paszczy, a potem siedziałem zdaleka i patrzyłem na całą Jawę, widzialną na wszystkie strony u stóp moich, wyglądającą w blaskach słonecznych jak kosz wszechbarwnych drogich kamieni i kwiatów. Byłem trochę zmęczony. Pan Antoni biegał, notował, oglądał, owiązany w pas sznurem trzymany przez przewodników zapuszczał się nawet w sam krater, ale nie na długo, a wyciągnięty zeń, siedział jakiś czas na ziemi nie mogąc się ruszyć, odurzony wyziewami. Gorąco mi się robiło patrząc na to. Wróciwszy do mnie, pan Antoni w bardzo dobrym humorze, wskazuje mi niezbyt odległe szczyty wulkanów mniej więcej podobne do tego, na którym stoimy i powiada:

— Tamten, to Merbabu, a ten najwspanialszy to Sumbing wysoki na 3,336 metrów!... tam muszę jeszcze być nim Jawę opuszczę...

Nastąpiło schodzenie z góry, zawsze gorsze niż wejście, ale że tą samą drogą, zatem niema co opisywać; nazajutrz wróciliśmy do hotelu w Solo. Upadłem na łóżko i zasnąłem, zaledwo zjadłszy co podano na „risstafel”. Obudziwszy się, widzę, że słońce świeci tak samo jak gdy zasypiałem, zatem po chwili namysłu, domyśliłem się, że musiałem przespać ze dwanaście co najmniej godzin i budzę się w dniu następnym. Nie widząc pana Antoniego koło siebie (gdyż ze względów oszczędności, jako skromni podróżni, mieszkamy zawsze razem), myślę sobie że pewno on już poszedł na śniadanie, zatem, zebrawszy się co prędzej i ogarnąwszy jako tako, czyli jakto się u nas po staremu mawiało „zrobiwszy ochędóztwo” schodzę do jadalni hotelowej. Tam istotnie zastaję i pana Antoniego i właściwy numer „Gazety Samarangskiej” w której odcinku jest dokładny opis naszego wejścia na wulkan Merapi, z objaśnieniem, że dokonał tego wielkiego czynu

Francuz Antoni Dulac wraz ze swoim piętnastoletnim krewniaczką, którzy byli drugimi z porządku po panu Bréon Francuzami tak wytrwałymi... Było mi bardzo przykro że mię wzięto za Francuza, z drugiej strony śmiać mi się chciało, że robiono z tego wielkie jakieś rzeczy. Następnie wsiadamy na kolej żelazną i jedziemy środkiem bogatych starannie uprawnych łąnów ryżu i plantacji trzciny cukrowej, i ogromnych budynków z wysokimi kominami, których znaczenia nie odgadłbym ani rok myśląc, dopóki mi nie powiedziano, że to są fabryki cukru ze trzciny. Co do wsi i miast, te jak zwykle tutaj są tak ukryte w głębi gajów, drzew owocowych, bambusów i kokosów, że wcale ich nie widać. W oddali ciągle to z jednej to z drugiej strony widzę naokoło ogromne stożkowate góry, czarnymi lasami pokryte w większej części, a pan Antoni znowu wskazuje mi je mówiąc:

— Ten... to wulkan Lawu, a tamten to Willis... trzeba tam wejść... — Minąwszy Surabaya, miasto wielkie, handlowe, drugie z porządku pod względem znaczenia w całej Jawie, przybywamy do Pasuruan, i tu wzięwszy powóz i dobre konie, jedziemy prześliczną drożyną w cieniu olbrzymich bambusów do wioski Pasurbuan, gdzie trzeba dosiąść wierzchołków i konno wśród kwitnących ślicznych plantacji kawy, dążąc ciągle pod górę, dostajemy się do maleńkiego raiku skrytego przed upałem wśród gór i gajów. Raik ten jest miasteczkiem czy też wioską wykwintną, zwie się Tosari, znajduje się na wzniesieniu 1,780 metrów, co zapewnia mu przecudownie zdrowy i miły klimat. Jest też tam bardzo ładny hotel, z którego właścicielką pan Antoni wita się tak serdecznie, jakby z bliską krewną, ale pokazało się, że to tylko Francuzka i ztąd ta serdeczność. Jednocześnie prawie pan Antoni ciągnie mię na werendę i pokazuje błyszczące w oddali wulkany.

— Tam to Ardżuno, cała gromada pysznych wulkanów, z których najwyższy szczyt jest ten oto tam, zwany Vido-dayan, czyli „Miejsce pobytu bogów” lub „Stolica bogów” 3,333 metrów wysokości. Zaś ten tam... widzisz, to jest sławny Bromo!... sławny nie tylko na całą Jawę, lecz także na cały świat, chociaż nie z powodu wysokości, gdyż ma największą 2,500 metrów.

Wyjechawszy z Tosary konno o szóstej rano, jechaliśmy śliczną drożyną wijącą się wśród przepaści; poraz pierwszy na Jawie, ujrzałem tu olbrzymie sosny i cyprysy, a wśród lasów na zawrotnych spadziściach wszędzie uprawne pola, kartofle, kapustę... Przecierałem oczy, bo mi się koniecznie zdawało, że jestem „u nas”, a na wszystkich miedzach i przy drodze wszędzie przepych kwiatów i znowu takich jak „u nas” od samych gwóźdźków oczy mogą zabołek tyle tam barw i takie świetne. Dopiero na wysokości 2,300 metrów nie ujrzałem więcej gruntów uprawnych. W parę godzin stanęliśmy nad podłużną, ogromną wklęsłością na rozległej wyżynie, której szczyt zdaje się jakby się zapadł i przez to ową wklęsłość utworzył: Głęboko, około 250 metrów, dno pełne ruchomych piasków, gdzieniegdzie żółtawą trawą porośniętą zowie się „Piaszczyste morze”, a z tego piasku wygląda dopiero kilka szczytów wygasłych wulkanów i ów Bromo obecnie jeszcze wybuchający. Zsiadłszy z koni zsuwamy się za przewodnikiem w głąb owego ogólnego krateru i wkrótce stajemy na dnie piaszczystego morza, konie schodzą także czego by pewno żaden koń nie nawykły do takich spadziści nie potrafił. Wsiadamy zatem znowu na koń i jedziemy po piaszczystym morzu, to jest po dnie przeolbrzymiego, wygasłego przed wiekami krateru, aby obejrzeć mniejsze kraterzy z tego dna się wznoszące, które właściwie są porządnymi górami z łona jednej ognistej ogromnej góry powstałymi. Słońce odbijając się w pustynnych piaskach razi oczy, ale podróż nie jest długa: oglądamy wkrótce Batok wulkan takię doskonałą stożkową postaci i tak od stóp do szczytu porośniętą zielonemi krzakami, że wygląda jakby sztuczne jakieś cacko postawione na pustyni. Ale Bromo, do którego dojeżdżamy potem, huczy głośno zdaleka i wygląda jak ogromny stos popiołu 200 metrów wysoki ponad morze piaszczyste; niema tam ani ślady zieleności, tylko z wielkim mojem

zdziwieniem jakieś ruchome schody czy drabiny ułatwiają wstępowanie aż do szczytu, z którego dymi się jak z pospolitego komina. Doszedłszy po drabinie na ów szczyt, zdziwiłem się jeszcze bardziej, widząc tuż nad kraterem bardzo wygodne ławki, na których siedząc, można przypatrywać się nie tylko całej okolicy, ale i patrzeć aż do samego dna w głąbię dymiącego krateru. Piasek, odłamy skał czerwonych, czarnych, szarych tworzą ściany w tym wielkim otworze zupełnie kształtu lejka mającego kilometr obwodu, a 200 metrów głębokości. Na samem dnie zwężonem tego rumowiska, jest otwór nieduży, ledwo kilkumetrowy wiodący do wnętrza tajemnic ziemskich, do gorejącego serca ziemi. Ztamtąd to wychodzi głuchy huk podobny do grzmotu i ciemne słupy dymnych wyziewów. Co chwila otwór ten w 200-stu metrowej głąbinie zdawał się jakby ożywiać, gdy kędyś tam ciemnoczerwony blask piekielny zabarwiał jego straszne tajniki... huk i czarny wyziew wzmagają się zawsze następnie... Nie widziałem dotąd nic podobnego, jakkolwiek nie jedno już w tym rodzaju widziałem. Pan Antoni powiedział, że nic podobnego niema na całym świecie, licząc do dziwu i piaszczyste morze i wszystko zresztą. A potem wskazał mi doskonale ze szczytu Bromo widzialny inny olbrzymi szczyt jeszcze, nie należący wcale do grupy wulkanów piaszczystego morza lecz owszem odeń odległy:

— To Semiru!... uwieńczony zawsze tym potężnym pioropuszem dymu... najwspanialszy olbrzym wśród tych ognistych olbrzymów, monarcha wulkanów jawańskich, mający 3672 metrów wysokości.

Wróciwszy do Tosari i odpocząwszy w tym prześlicznym górskim zakątku, gdzie wieczna panuje wiosna bez zmiany, rozpoczęliśmy powrotną drogę z wyżyn na doliny, przez lasy niezgłębione i nietknięte jeszcze ludzką stopą, przez plantacje rozległe młodych chinowych drzewek pielęgnowanych pod pewnym rodzajem dachu czy poszycia bambusowego. Zstępując niżej jechaliśmy bezbrzeżniemi na oko plantacjami kawy, drzewka są tu wzrostu przeszło pięćciu metrów, wszystkie właśnie czerwieniły się od gęstwiny owocu, a całe tłumy okolicznej ludności hurmem zrywały i zbierały w kosze te maleńkie wisienki, których pestka tylko ma właściwą wartość. Starsi ludzie używali przy tem drabin, ale nagle ciemno-skóre dzieci co najmniejsze właśnie i najbliższe skakały po drzewkach jak małpięta, rwąc owoc, ale że jest to im wzbronione z obawy łamania dosyć wątlých krzewów, zatem co chwila ktoś starszy stojąc na drabinie zamiast owocu chwyta malca za czuprynę i zdjąwszy z drzewka, jak kota puszcza z wolna z wysokości paru metrów na ziemię. Dzieje się to bez cienia gniewu, za czuprynę bierze się z konieczności i ze zwyczajem, a także i przez troskliwość, bo jakże tu inaczej ująć jedną ręką stworzenie nagie i ślizgie, ujmując za którąkolwiek łapkę możnaby ją wyrwać, przyjętem jest więc w razie potrzeby posługiwać w tego rodzaju wypadkach czupryną. Śmiechy małych towarzyszy przyjmują każdy taki owoc spadający z drzewa, a że dzieci mnóstwo, zatem całe ogromne łąny rozbrzmiewają śmiechem przy tej robocie pomimo właściwej dorosłym Jawańczykom ciszy i powagi. Wkrótce znikły plantacje kawy, gdy zesliśmy na wysokość 700 metrów nad poziomem morza, a zaczęły się łąny ryżowe i bambusowe lasy. W godzinę później poczuwszy parujące wilgocią przesiąknięte wonne cieplarnianemi wyziewami powietrza zrozumiałem, że jesteśmy na równinie Jawy. Po raz pierwszy w życiu dnia tego siedziałem przez dziewięć godzin na koniu!... Prawda, że jawańskie koniki są maleńkie a takie dobre, potulne i pewne w nogach, że z pewnością bezpieczniej jest jeździć po górach niż chodzić. Z przyjemnością jednakże wsiadłem do powoziku czyli kahar'u tutejszego; potem przez Malang śliczne miasteczko wróciliśmy koleją żelazną do Surabaya dużego i pięknego miasta o 120,000 Malajczyków, 25,000 Chińczyków i 3,000 Europejczyków; potem przez Ambarawa najważniejszy punkt strategiczny w systemie fortyfikacyjnym holenderskim, u stóp wulkanu Merbabu; narzeczcie morzem już dostaliśmy się do Batawii, gdzie wsiadłszy na „Flying-horse” co jak wiesz znaczy „Rumak-skrzydlaty”,

puszczamy się w podróż do Australii. Bywaj mi zdrowa, droga siostrzyczko. Nie wiem zkąd i kiedy będę mógł znowu pisać do ciebie.

## ROZMAITOŚCI.

Tysiące ludzi w Indyach ponosi corocznie śmierć od dzikiego zwierza. Żarłoczność mianowicie tygrysów daje się nieustannie we znaki biednym tych stron mieszkańcom. Sprawozdanie jednego z gubernatorów wspomina o tygrysie, który w ostatnich trzech latach (1886—88) przyprawił o śmierć 108 ludzi. Drugie zwierzę, w inną okolicę, pożarło w tym czasie około 80 ludzi, a trzecie było powodem, że ludność wyniosła się zupełnie z 13 wiosek, i 250 mil kwadratowych angielskich stoi obecnie pustką. Inny znów tygrys pożarł w ciągu roku 127 osób i na parę tygodni przeciął wszelką komunikację między dwoma sąsiadującymi miasteczkami, nikt bowiem nie ośmielił się wychylić z domu. Gubernator Gilbert wspomina o tygrysiu w Nagpur, która okrąg 9-ciu mil kwadratowych pustoszyła przez całe tygodnie, porywając ze szczególniejszem upodobaniem robotników, pracujących przy kolei Bengal-Nagpur. W pierwszym półroczu r. b. pozabawiła ona życia 9 ludzi, a kilkunastu innych poraniła straszliwie. W lutym porwała w jasny dzień jednego z robotników i to z pośrodku kilku innych towarzyszków. Kilkakrotnie już do niej strzelano i robiono kompletne oblawy, dotąd bezskutecznie. Inna wreszcie tygryśnica porywała podobnie ludzi w Jaunsar w pobliżu gór Himalajskich dopóki jej nie zabił szczęśliwie jeden z urzędników angielskich.

Pewien uczony włoski mieszkający w świeżo założonem mieście La Plata, w republikańskiej argentyńskiej, podał następującą wiadomość o śnie zimowym tamtejszej jaskółki:

„Gdy w sierpniu r. z. (to jest podczas tamtejszej zimy) z małego domku zdjęto cynkowy dach, znaleziono pod nim około stu jaskółek, jedna na drugiej nagromadzonych i pograżonych w śnie letargicznym, lecz zupełnie zdrowych, gdyż będąc wystawione na działanie słońca ocuciły się i żwawo odleciały. W roku bieżącym spostrzegłszy kilka dziur w urwistym brzegu nad La Plata, począłem kopać w nadziei zobaczenia nietoperzy, lecz znalazłem kilkadziesiąt jaskółek wymienionego gatunku, nagromadzonych tam w śnie letargicznym”.

Jak Australia cierpi z powodu rozmnożenia się królików, tak znów Stany Zjednoczone utyskują obecnie na wróble. Ptak ten nieznan był w Ameryce i dopiero w r. 1850 przyjęto z radością pierwszą kolonię wróbli, którą wypuszczono na wolność w Brooklinie; w cztery lata później nowy transport otrzymano w Chicago, a do r. 1870 Amerykanie zachwycali się ruchliwością nowego przybysza, który rozweselał ich miasta i wioski. Od tego jednak czasu rozpoczęły się na niego skargi. Zarzucają wróblowi, że jest nieprzyjacielem wszystkich ptaków krajowych, że wygania je z okolic w których się osiedla, a natomiast szanuje wszelkie owady szkodliwe, wyżera nasiona z pól, grona w winnicach, owoce i jarzy-

ny. Ornitologowie więc domagają się wydania przepisów upoważniających do niszczenia wróbli w każdej porze roku i ochraniających ptaków drapieżnych, które są nieprzyjaciółmi wróbli, a nadto nałożenia kar na wszystkich, którzyby ptaki te żywili i niemi się opiekowali. W Michiganie już obecnie wypłacają wynagrodzenie jednego centa za głowę każdego zniszczonego wróbla.

## ZADANIE KONIKOWE.

tek	wszy	kiěj	mu	nie	so	chwy	o
la	je	u	we	li	wie	zarz	ta
tek	by	i	zie	trzy	skąd	racz	ży
swěj	wsze	wsi	i	ładź	giem	kto	ta
na	ną	do	ple	mię	zdo	pie	płu
bez	mie	sie	cze	wsi	twěj	czło	ry
bie	koj	roc	czci	swe	wtwěj	le	czy
i	wie	i	spo	chwa	u	głos	wiek

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.

Szarady:

Ha — wanna.

Łamigłówki zgłoskowe:

1. Kaplińska.
2. iLnicka.
3. deOtyma.
4. odyNiec.
5. zabłOcki.
6. bieloWski.
7. zmorski.
8. konopniCka.
9. kazimierz Brodziński.

Klonowicz.

Wszystkim prenumeratom przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.

TRĘŚĆ: Gwiazdka, wiersz p. T. (z drzew.) — Na święta do domu, z prawdziwego wydarzenia p. Z. — Dzikie woły (z drzew.) — Wigilia Bożego Narodzenia. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Gwiazdka, wiersz (drzew.) — Imieniny mamy, komedycja p. P. Zabokrzecką. — Kolęda Nanetki, ofiarowana Ludce z pod Ciechanowa. — Zbyt śmiały Józio, p. Z. M. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





## G W I A Z D K A.

Jak słonecznych fal odbicie  
Błyszczą drzewko w światła fali,  
Com pragnęła kiedy skrycie,  
Wszystko, wszystko spamiętałil...

Matka, ojciec swoje dziecię,  
Snadź serdecznie ukochali,  
Gdy je mądrze a obficie  
Dary swemi obsypali:

Boże!... obym w lat rozkwicie  
Mogła dać im jak mi dali,  
Pełne szczęścia ciche życie,  
Kochać, jak mnie ukochali!

## IMIENINY MAMY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

### OSOBY.

ZOSIA, lat 13.  
GUCIO „ 11.  
ZYGMUŚ „ 10.  
WANDZIA „ 7.

ZOSIA (*chodzi po pokoju zafrasowana*). Boże drogi, już głowę tracę a nic wymyśleć nie mogę. Zdawało mi się że to tak łatwo, upewniałam p. Maryę, że sobie sama dam radę. Że też jej teraz właśnie wypadł ten wyjazd, onaby pewno wszystko dobrze urządziła a tak jutro imieniny, a my się nie przygotowujemy. Co tu zrobić?... (*Wbiegają Gucio i Zygmus*).

ZOSIA (*zniecierpliwiona*). Tak, tak, wy tam pewnie zbijacie baki w ogrodzie, a ja muszę sobie głowę suszyć jaką niespodzianką urządzić mamie jutro; tysiące pomysłów mi przychodzi, a nie wiem który wybrać.

GUCIO. Otóż mylisz się, nasza pomysłowa siostrzy-

czko, wcale nie zbijaliśmy baków, tylko byliśmy zajęci z ogrodnikiem urządzaniem bukietów i klombu kwiatowego z cyframi mamy. Będzie prześlizchny...

ZOSIA. Wielka mi niespodzianka. Że też na nic lepszego zdobyć się nie możecie. I cóż mamie przyjdzie z tego klombu?

GUCIO. Pewnie więcej jak ze wszystkich twoich pomysłów razem wziętych, z których żadnego nigdy nie doprowadzisz do skutku. Ty zawsze ganisz wszystko, co nie wyjdzie z twojej mądrej główki.

ZYGMUŚ. Że też wy się tylko sprzeczać musicie, przestańcie już raz i niech Zosia nam powie co wymyśliła, bo to już nie wiele czasu pozostaje. No urządzmy co wspólnie.

ZOSIA (*naśladując go*). Wspólnie, wspólnie, na duży mi się wasza rada przydała; pamiętajcie, że dzieci i ryby głosu nie mają.

ZYGMUŚ (*poważnie*). Ależ moja Zosiu, zapominasz, że sama jesteś dzieckiem. Jeszcze raz powtarzam, że jutro mamy imieniny i czasu bardzo mało.

ZOSIA. A więc powiem wam moje projekta a wy wybierajcie. Możnaby naprzykład wziąć jedną z kome-dyjek z „Wieczorów Rodziny” i nauczyć jej się...

GUCIO (*śmiejąc się*). Otóż pomysł znakomity! i kiedyż to myślisz jej się nauczyć, czy nie dziś w nocy przypadkiem? Włóżysz pewno książkę pod poduszkę, aby rola sama weszła ci do główki.

ZYGMUŚ. Nie, to być nie może i czasu i osób za mało.

ZOSIA (*z przejęciem*). A więc żywe obrazy... naprzykład... „Hagar na puszczy”; ja będę Agarą, ty aniołem, Zygmus Izmaelem. Jakby to było pięknie przy ogniach bengalskich i fajerwerkach!

GUCIO (*przerzywając*). Ot już i puściła wodzę fantazyi, gdzież to tę puszcę urządzisz, czy nie w ogrodzie, w ciemnej alei lub ponad stawem? A fajerwerkami to będą pewnie twoje oczki, które tak błyszczą jak się zniecierpliwisz...

ZYGMUŚ (*zawsze poważnie*). Zaprzestańcie już sprzeczeki, bo tak nie dojdziemy do niczego, ja radzę, żeby przestać na powinszowaniu i ofiarować mamie jakie podarki, a co najwyżej urządzić zbiorową deklamacją.

ZOSIA. I cóżbyś też zadeklamował, mój ty poetyczny braciszku?

ZYGMUŚ. To nie trudno znaleźć... coś ze śpiewów Niemcewicza naprzykład...

ZOSIA (*przerywa wybuchając śmiechem*). Ha, ha, ha, naprzykład... (*wskakuje na krzesło i mówi patetycznie*). „Od dworaków opuszczona, Helena w stroju niedbałym”, albo „Nad blask co berło udziela, wyżej cenię przyjaciele”. Jużes tem dostatecznie namęczył mamie głowy. Nie, nie, deklamacja stanowczo upada.

ZYGMUŚ. Więc wymyśl co lepszego.

ZOSIA. O sobie nie mam kłopotu, bo ja mogę zagrać choćby ten nowy kawałek, którego się nauczyłam z panną Maryą.

GUCIO. Doskonała myśl, tem może największą przysługę oddałabyś mamie, bobyś wystraszyła wszystkie myszy, które tak wszechwładnie gospodarują w salonie.

ZOSIA. Ty zawsze jesteś bardzo dowcipny, ciekawam co też ty dasz mateczce?

GUCIO. Ja dam ten ładny scyzoryk, który dostałem od ojca.

ZOSIA (*prędko*). A który jest tak ostry jak twój jęczerek.

ZYGMUŚ. A ja ofiaruję ten flakonik od cioci.

ZOSIA. Śliczny prezent, powyszczerbiany i pustyl!

WAŃDZIA (*wbiega prędko*). Mam wróciła z miasta i przyjdzie tu zaraz, aby was wziąć na spacer.

(*Dzieci wystraszone*).

ZYGMUŚ. Ach mój Boże co tu robić? Widzicie jak to źle się sprzeczać, przez te sprzeczki nie tylko że nic nie przygotowaliśmy, ale nawet niema już czasu powtórzyć powinszowania.

ZOSIA. Zamknijcie tylko drzwi i prześpiewajmy je prędko. (*Ustawia dzieci rądem i śpiewają*).

Ty nad kolebką noce pędziłaś bezsenne,  
W stawianiu pierwszych kroków kierowałaś nami,  
A ucząc nas pacierza drżącymi ustami,  
W duszy pojęcie bóstwa wpajałaś promienne.  
Mowisz nam, że nie wszyscy na świecie wybrani,  
Nie każdego pieszczota matki ze snu budzi,  
A wskazując gdzie cierpią biedni i znękani,  
Nieść im pomoc zalecasz — uczysz kochać ludzi.  
Czemże ci się odpłacim za uczucia tyle?  
Nie stać nas na tak wielkie dary, matko droga,  
Tylko z głębi dusz naszych możemy prosić Boga,  
By w szczęściu i spokoju dał ci pędzić chwile.  
By ziarno twoich nauk w dobrą padło rolę,  
W sercach naszych, w umysłach spotęźniało, wzrosło  
A wydało nie chwasty i puste kąkole,  
Lecz z cnót i dobrych czynów zdrowy plon przyniosło.

*Paola Zabokrzecka.*

## Kolęda Nanetki.

Ofiarowana Ludce z pod Ciechanowca.

Jest we Francyi zwyczaj ludowy, że w wigilią Bożego Narodzenia, (w niektórych prowincjach w wigilię św. Mikołaja), dzieci stawiają trzewiczki swoje przed kominem, by nazajutrz rano znaleźć w nich podarunki.

Mała Nanetka była sierotą, pięć lat dopiero liczyła, a od roku już nie miała matki, ojca nie pamiętała zupełnie. Nanetkę przygarnęła daleka krewna, dość zamożna wdowa, która nigdy dzieci nie wychowywała. Nie potrafiła też serdecznem ciepłem otulić biednej sierotki, powierzonej jej opiece. Nie gniewała się na nią, nie łajała, sumienna była i staranna około potrzeb a nawet wygod dziewczynki, ale też nie popieściła jej nigdy, nie postarała się zabawić, lub drobną przyjemnością osłodzić sieroctwo i przywiązać dziecko do siebie.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Nanetka słyszała nieraz dzieci sąsiadów rozmawiające między sobą, o tem wielkiem święcie. Jakże niecierpliwie oczekiwały

jego nadejścia, i podarków które w trzewiczkach swoich zastać się spodziewały. Wszak i ona zeszłego roku dwie pary nowych pończoszek, pierniczki i lalkę drewnianą przy obudzeniu w malutkich pantofelkach powitała.

— Może i tego roku co ładnego dostanie — myślała sobie ustawiając starannie z kurzu otarte trzewiczki u wygasłego komina.

Ale Nanetce przybyło rozumku i przebiegłości od roku. Spostrzegła że trzewiczki małe, a ona by dużo, dużo podarków dostać chciała od Boga i aniołków. Włożyła palec do buzi, podumała, i przyciągnawszy spory koszyk postawiła go na trzewiczkach, potem położyła się spać, bo i ciotka już spała w alkierzyku.

Tymczasem służąca wybiegła cichaczem nagadać się z bratową swoją, na drugim końcu wsi mieszkającą, i nieostrożnie wychodząc drzwi niedomknęła.

Opodał koto chlewka, leżała biedna wynędzniała kotka z kociętami. Drżała od zimna i strachu o swoje małeństwa, bo ohok psy ujadały. To też zobaczywszy drzwi uchylone, wsunęła się za nie cichutko... może też znajdzie kącik bezpieczny i ciepły, ujrawszy koszyk miauknęła z radości i poprznosiła do niego kocięta, jedno po drugim, zębami za kark, jak to matki kotki czynić zwykły. Nazajutrz o brzasku ciotka Nanetki ze służącą poszły do kościoła, zostawiając dziewczynkę śpiącą. Ale wyczekiwanie podarków od Boga, nie dawało zasnąć mocno sierotce, obudziła się za pierwszym drzwi skrzypnięciem, wstała, umyła grzecznie, uczesała, włożyła odświętną sukienkę, i pobożniej jeszcze niż zwykle zmówiwszy paciorek żywo pobiegła do kominka.

To co ujrzała w koszyku przeszło wszelkie jej oczekiwania... najbogatsze dziecię w pałacu nie doznało z pewnością żywszej od Nanetki radości. Czworo kociąt prześlicznych, dwa pstre, jedno bure, najmniejsze białe jak mleko, a w dodatku kotka, taka łaskawa, że głaskać się dawała dziewczynce, i pieszczotliwie ocierała nosek o jej rączki.

Podarunek świąteczny był rzeczywiście wspaniały, i dzień uroczysty nie przyniósł Nanetce uczucia pustki i zawodu. Bóg pomyślał o kolędzie sieroty.

*Marya Leona.*

## Zbyt śmiały Józio.

Józio i Stasia pojechali z mamą nad morze; nigdy oni jeszcze nie widzieli takiej wielkiej wody i ogromnie się dziwili, zkąd się jej tyle wzięło, kiedy deszcz oddawna nie padał.

Mama powiedziała im, że takich mórz jest bardzo dużo na świecie, że ich nawet daleko jest więcej niż suchej ziemi, i że po tej wodzie można tak pływać okrętami i łodziami, jak po lądzie jeździ się powozem zaprzężonym końmi, lub wagonem, który popycha para, czyli koleją żelazną.

Dzieci z początku myślały, że mama żartuje, a po trochu bały się tej wielkiej wody, żeby nie wylała się i wszystkich nie zatopiła. Powoli jednak bać się przestały, gdy zobaczyły, owe okręty i łódki na których

wioślarze i rybacy tak spokojnie siedzieli, jakby w najwygodniejszym powozie, chociaż łódka kołysała się na wszystkie strony.

Odważnie też wchodzili do kąpieli i byliby z ochotą poszli daleko w morze i puścili sznur, za który kazano im się trzymać podczas kąpieli, gdyby mama była na to pozwoliła.

Lubili też bardzo bawić się tuż nad morzem na wilgotnym piasku, w którym znajdowali prześliczne muszleki, a nawet raz Józiovi udało się znaleźć małeńki kawałek żółtego bursztynu.

Mama chętnie pozwalała na tę zabawę, przestrzegając jednak, aby dzieci zbytecznie się w morze nie posuwały. Dzieci zaś pozdejmowawszy trzewiczki i pończoszki, coraz dłużej pozostawały nad morzem i coraz śmiej w wodę wchodziły. Czasem, gdy bałwan uderzył o bosc nóżki Stasi, podskakiwała i usuwała się na bok, ale Józio zaraz się z niej śmiał i mówił:

— Inni pływają po całym morzu. a ty się boisz bałwana, żeby ci nóg nie pomaczał. I zaraz potem zawołał:

— Panie bałwan, proszę bliżej, zobaczymy, kto silniejszy!

Stasia, niechcąc się wydać zbyt bojaźliwą, naśladowała starszego braciszka i stanawszy naprzeciwko spienionej wody, wołała:

— Mój bałwanku, proszę cię bliżej, obmyj mi nóżki bom je pobrudziła na piasku.— Oprócz Józia i Stasi, nad morzem bawiło się dużo innych dzieci, a między innymi Ignasz, starszy już dziesięcioletni chłopiec, który zadziwiał wszystkich wielką siłą i zręcznymi bardzo skokami, a nawet i pływać nieźle już umiał.

Razu jednego Stasia i Józio zapuścili się daleko w głąb morza, chcąc spróbować kto silniejszy, bałwan morski, czy oni. Mama, siedząca opodal, gdy ich ujrziała tak śmiało coraz dalej postępujących, bardzo się przestraszyła i biegnąc ku nim, wołała aby się zaraz wrócili. Lecz morze tego dnia było więcej wzburzone, głośniejszumięło, i dzieci nie słyszały wołania mamy.

Tymczasem bałwany coraz więcej nadpływały, a jeden tak silnie uderzył, że przewrócił opierającą mu się Stasię. Józio, chcąc siostrę ratować schylił się, aby ją podnieść, lecz bałwan nowy nadpłynął, Józio się zachwiał i upadł w morze...

Biedne dzieci wołały ratunku, lecz woda wpływała im do ust, a głosu nikt nie słyszał, Józio trzymając jedną ręką za sukienkę siostrzyczkę, chwycił się rozmiękłego piasku i nadbrzeżnych porostów, lecz i to nie wiele pomagało, bo woda ich zupełnie zakryła, a bałwany przelatując nad ich głowami, już, już miały ich pochwycić i w morzu zatopić...

Matka nie widząc dzieci, chciała się rzucić w morze za niemi, wtem nagle nadbiegł Ignasz, a widząc całe niebezpieczeństwo, rzucił się w morze, a pochwyciwszy Józia i Stasię na pół żywych, wyostał na brzeg morza, walcząc z napływającymi bałwanami.

Oboje byli prawie bez życia, przyszedł zaraz doktor, przeniesiono dzieci do najbliższego domu, dawano im bardzo przykre lekarstwo i po chwili przyprowadzono do życia. Kilka dni jednak upłynęło nim zupełnie

ozdrowiały, połknęły bowiem za dużo wody morskiej, która jest bardzo szkodliwą do picia.

Często teraz powtarzały siedzącej przy nich mamie, że już nigdy zbyt daleko w morze wchodzić nie będą. Nie wchodziły też w morze, ale i nad morzem się nie bawiły, trzeba było wyjeżdżać do domu, bo ojciec pisał, żeby jak najprędzej wracały. Swojem więc nieposłuszeństwem pozbawiły się miłej zabawy, a może byłyby się i utopiły gdyby nie odważny Ignasz, któremu bardzo są oboje wdzięczni i bardzo go kochają.

Z. M.

## SZARADA.

(dla Wiochny od Gosposi z nad Warty).

*Pierwsze rzeka co daleko płynie,  
W południowej, cudownej krainie,  
Drugie i trzecie to mała woda,  
Z którą jest ludziom zawsze wygoda.  
Wszystko razem to owoc nielada  
Co z wielu jagódek się składa,  
Ma je czerwone, ma także i białe,  
Lubię je bardzo gdy są dojrzałe.*

ROZWIĄZANIE DO N-ru 50-go.

Zagadki:

Grad — Grat.

Czarodziejskiej sztuczki:

Gołąbka pocztowa.

## Skrzynka do listów.

**P. Paoli Z. w Cze.** Zagadki bardzo udatne, dziękujemy za nie i umieścimy wkrótce.

**Czapla z nad Pohanki,** dobra i miła znajoma, przysłała liściki, o których wydrukowanie prosi. Iowszem! poczekaj tylko, brodząca elegantko na swojej kolęd, a tymczasem w te ostre mrozy nie strać kitki, najpiękniejszej ozdoby twojej. Ubolewałaby nad twoją dołą pełną współczucia dla ptaków Kulka śniegowa. Co masz czytać, kochanko? Ależ wszystko co wyszło z pod pióra J. M. Zaleskiej, Z. Urbanowskiej, M. Zielińskiej, Z. Morawskiej, przekłady z A. Laurie, Mayne-Reida i innych autorów, znanych z umiejętności pisanja dla waszego wieku.

**Cicha Woda Nr. II** wdycha do pensyi! Czy ci się zdaje, że przyjemności koleżeństwa powetowałyby ci tęsknotę za domowem otoczeniem?

**Łezka warszawska** otrzyma numer, na których brak tak narzeka; trzeba jej chemis przecie wynagrodzić przykrości choroby

**J. D. z Lub.** zamilkłszy przez czas jakiś, znowu się odezwała. Z przyjeunością witamy wśród grona korespondentek tak ją, jak i jej siostrę.

**Wiochna z pod Lublina,** jak to z jej listu widzimy czynnie prowadzi życie. Ta już nie potrzebuje odpowiadać na konkurs, a z listów siostrzyczek wnosimy, że i one z czasem pójda za jej przykładem. W gramatyce naszej dużo jeszcze niestety! wątpliwości, zdaje nam się jednak, że literę X pisaćby trzeba tylko

wyrazach będących imieniem własnem greckiem: Xerxes, Xenont i t. d. Małecki jednak mimo wszelkiego „zdawania się”, stawowi powagę.

Gołąbka uczyniła już zadość pragnieniu Westalki w tem, co się tyczy wystawy. Dla czego z pewnym żalem powiadasz, Westalko, że nie masz „żadnego talentu”? Umiejętność rządzenia domem jest także swego rodzaju talentem.

Tak, Gamo C-dur, nie każde przysłowie jest nieomylną prawdą; ale wykończenie wiązania dla mamy jest rzeczą ważniejszą, niż odpowiedź na konkurs.

Uczynimy zadość życzeniu Szarłej ptaszyny, która z radością witała do swego gniazdko.

Z upragnieniem czekamy od Śnieżnej jagódki listu z doniesieniem, że czuje już w sobie poprawę. Nastąpi to niezawodnie, skoro sama starasz się o to usilnie. Zadania konikowe nie ułożone według zasad, nie są dobre i drukowane być nie mogą.

Zwinna Wiewióreczka niech sobie troszkę posiedzi w towarzystwie wielu, wielu innych stworzonek, które także czekają na swój wydrukowania liścików.

Krasnolica odezwała się do nas po długim milczeniu i miło nam też było znowu otrzymać słówko od niej.

Czyżyk nadesłał dobre rozwiązanie.

Życzeniu Błyskawicy postaramy się uczynić zadość, o ile możliwość pozwoli; „kącika w sercu” możesz być pewną, miła nasza aruszko.

Rajskie Jabłuszko musiało się jeszcze śliczniej zarumienić, skoro tak się ucieszyło otrzymaną nagrodą? A jakie to pracowite Jabłuszko, jakie oszczędne!

Biedna Maryno z pod Garwolina, wyobrażamy sobie, jak ci czykrym być musiał zawód. Plewy zamiast nagrody! to okropne... le nagroda zasłużona nigdy nie mija: przekonałaś się o tem?

Niezapominajka z Polesia należy do liczby tych, którym jak winnę Wiewióreczce zaleca się... cierpliwość.

Lucio des E. przysyła zawsze dobre rozwiązania; dla czegoż ich przysyłać nie miał?

Gałązka Heliotropu przeznaczyć musi swoją posyłkę na inny list; tamten w zupełności już osiągnięty.

Kochane moje: Różyczko wołyńska, Dumko, Gosposiu z nad Party i Wodo źródłana! Pisałam do was Różyczko i Dumko jeszcze na wiosnę, lecz list mój gdzieś zaginął i nie był drukowany. Pseudonym „Ciemnowłosa Dzieweczka” zmieniłam; mieszkam w poiziu Niemna. W „Wieczorach” wszystko mi się podoba, jedno po drugim co raz ładniejsze. Gosposiu droga, podobasz mi się bo też lubię gospodarstwo, mieszkam na wsi, nazywam się Aniela, mam lat 13. Wodo źródłana, jesteśmy w równym wieku, i ja stem szatynka, wysoka, szczupła, lubię nauki, tańce, muzykę i piewy. Odpiszcie prędko, kochającej was *Horpynie*. Posyłam wam łamigłówki.

Drogi Kołowrotku! Najpierw odpowiadam na twoje pytania. Powiastkę „Na wakacjach” czytałem i dosyć mi się podoba, ale najciekawszą „Najnowsza powieść Deotymy”, a także zaciekawia mnie „Szesnastoletni wojewoda”. Nie uczę się rysować, choć rysunek bardzo lubię, lecz tylko grać, a teraz uczę się tańczyć, co mi nieźle wchodzi. Całuję cię serdecznie, donieś mi co o sobie. *Mała Laska*.

Kochane: Biała i Szara Koteczki z nad Chomoru! Często sobie przypominam, jak wesoło spędziłam kiedyś jeden dzień u was. Marzę o tem żeby was bliżej poznać. Wybieramy się do was. Zanim to nastąpi, ściskamy was serdecznie *Blawatka z nad Chomoru*.

Kochane: Laureatko, Gwiazdo Polarna, Gwiazdka Nadziei Królowo Elfów! Laureatko i dwóm Gwiazdkom za ich liściki, żałuję serdeczne uściśnienia. Gwiazdka Nadziei donieś czy pojedziesz do Krakowa? Czy nam zaświecisz? Królowo Elfów Gwiazdka twoja z pseudonimu, pragnie cię poznać i donosi, że ma 4 braci i tyleż siostr, kończy zaś lat 14. Prosząc o odpowiedź, ściskamy was serdecznie *Królowa Wróblek*.

Kochany Wilku ze stepów Chersońskich! Zaciekawia mnie twój pseudonym, dla czego obrałeś sobie nazwę tak dziękiego zwierza i czy na prawdę mieszkasz w stepach Chersońskich? Może w bliskości morza Czarnego, a może znasz i Krym? Chciałbym kiedy poznać te strony, które dotąd znam tylko z geografii. Odpowiedz mi Wilku, czy chcesz korespondować ze mną przez „Wieczory”? Ja mam lat dwanaście, jestem w trzeciej klasie, uczę się w starym i poważnym grodzie Krakowie, mam imię jednego z wielkich królów Frankonii. Pozdrawia cię. *Ben-ali-bei*.

Droga Funiu z Kluczevska. Dla czego nie chcesz ze mną korespondować przez nasze kochane „Wieczory”, pisałam do ciebie już dawno pod pseudonimem Blondynki, słyszałam żeś mnie chciała poznać, poznajmy się więc listownie. Przyjm serdeczne uściśnienia od *Polnego Kwiatka*.

Cyganeczko za liścik, a Jesieni za pozdrowienie przesyłam serdeczne uściśnienie.

Kochaną Romko! Za liścik serdecznie ci dziękuję, wkrótce zaś ucałuję cię osobiście. Twoja *Janisia*.

Kochana moje Westalko i Cyganeczko z nad Wisły. Nie odpisywałam wam długo, ale teraz donoszę, że lato spędziłam bardzo przyjemnie ucząc się, przechadzając i grając w krokieta. Czy znacie tę grę? Wiem co porabiacie z waszych listów do „Wieczorów” i coraz bardziej pragnęłabym poznać się z wami. Obie z Westalką należymy do nader sędziwych korespondentek, ale pocieszam się myślą, że są jeszcze poważniejsze od nas staruszki i zawsze z równem zajęciem czytam nasze piśmko. Przypuszczam, że i wy nie rozstaniecie się z niem prędko. Żegnajcie mi na dzisiaj i piszcie do życzliwej zawsze *Wiochny z pod Lublina*.

Śnieżycy i Krasnolicy przesyłam serdeczne pozdrowienia, jako też Czeskiej Niezabudce.

Drogi: Staszko z Podola, Chmurko złocista, Kołowrotku, Różyczko biała z Wołynia i Kwiatku polny. Staszko moja dziękuję ci z całego serca za serdeczną odezwę, domyślałam się co uczynić zamierzasz, więc przyjm serdeczne życzenie. Ciebie miła Chmurczko po milion razy przepraszam, co porabiasz obecnie ty i twoje siostrzyczki? Względem ciebie Kołowrotku też bardzo zawiniłam, ale ufam, że mi przebacysz; gdzie mieszkasz? Miła Różyczko kwiaty lubię bardzo; a tobie drogi Kwiatku polny donoszę, że ostatnia stacya, do której dojeżdżam jest Grodzisk na Wiedeńskiej drodze. Całuję was ukochane moje; *Cyganeczka z nad Wisły*.

Droga biała Perełko! Spieszę zadość uczynić twój prośbie i donieść że mieszkam na ulicy Bannej w domu Zabłockiego t. j. własnym. Ucieszyłam się wiadomością, że przyjedziesz do Żytomierza. Jestem pewną, że się zaprzyjaźnimy i pokochamy. Tymczasem ściska cię serdecznie. *Błyskawica*.

Terazniejszy twój pseudonym bardzo mi się podoba, bo lubię ten wdzięczny kwiatek. Ucieszyłam się bardzo z twój odpowiedzi; zgadłaś moje imię. Zmieniłam pseudonym i jeśli chcesz ze mną korespondować, prosi cię o odpowiedź życzliwa *Kapłanka Znicza*.

Kochana Wiewióreczko Infantska! Wyczytawszy w „Wieczorach” liściki twoje, pisane do innych korespondentek, domyślałam się, że jesteś moją kuzynką Zosią P. że masz braciszka Kazia, mieszkasz w Wiaźmie i że mama twoja jest ukochaną kuzynką mojej mamy; imię jej zaczyna się od T. ja się nazywam Anula F., mam lat blisko 15, ciebie widziałam kiedy jeszcze malutką byłaś w Uhrze. Ucałuj proszę cię Kazia, którego znam tylko z fotografii i odpisz proszę cię kochającej cię *Czapli z nad Pohanki*.

Poranku majowy i wy wszystkie czytelniczki Wieczorów! Myśl twoja, Poranku drogi, bardzo mi się podobała, lecz i ja chciałabym narzucić wam mój projekt. Gdy nadchodzi Boże Narodzenie u każdej z was, przyjaciółczki, milionami świeczek pokryta, błyszczą piękna choinka. Pomyślcie, czytelniczki drogie, że jest tysiące biedactw, które nie wiedzą co to gwiazdka! Czybyśmy nie mogły posłać trochę pieniędzy do Redakcyi, dla naszej rodzinki biednych dzieci? I cóż myślicie, kochanki, czy myśl moja wam się podoba? Chciałabym jeszcze co dopisać, lecz niepodobno zabierać tyle miejsca. Kończę więc prosząc abyście pamiętały o *Białej Ostróżce*.